

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

DYSKUSJA NIE NA TEMAT. ODPOWIEDŹ S. FLORKOWI

Polska literatura archeologiczna, tak uboga przez długie lata w prace podejmujące bardziej abstrakcyjne rozważania, zaczyna ostatnio zmieniać swój obraz. Ten

uprzedni, mniej więcej dwudziestoletni kryzys, który nastąpił nagle w drugiej połowie lat pięćdziesiątych po powojennej aktywności wielu archeologów na polu

rozważań teoretycznych, można uzasadnić kilkoma przyczynami. Jedną z nich było zwiększanie liczby ekspedycji terenowych (w tym bardzo dużych), w które obfitował szczególnie okres poprzedzający obchody tysiąclecia państwowości polskiej. Nawała uzyskanych w wyniku tej akcji materiałów i dokumentacji przekroczyła chyba „możliwości przerobowe” polskiej archeologii. Świadczy o tym długoletnie oczekiwanie na wiele sprawozdań, czy też wręcz brak opracowań wyników niektórych badań. Określoną rolę musiało też odegrać nałożenie gorsetu jednolitej wykładni materializmu marksistowskiego, która w strywalizowanej przez Stalina formie dała wynik w postaci przyjęcia dogmatu o tożsamości metodologicznej wszystkich tych dziedzin spośród nauk antropologicznych, których przedmiotem były materialne aspekty procesu społeczno-kulturowego. Innym czynnikiem było zapoczątkowanie w latach sześćdziesiątych przez archeologów anglo-saskich „rewolucji paradygmatycznej”. Wynikła z niej fala publikacji była naszym środowisku w dużej części niedostępna, zarówno z powodu ograniczonych kontaktów bezpośrednich i nieznamomości języka, jak też braku środków na zakupienie odpowiedniej literatury. Ostatnim z elementów, na które chciałbym zwrócić uwagę było zhierarchizowanie działalności naukowej przejawiające się między innymi w nieformalnym zarezerwowaniu rozważań teoretycznych dla badaczy utytułowanych, którzy już odbyli długoletni termin ślęcząc nad opracowywaniem szeroko napływających materiałów.

To nieszczęśliwe połączenie przeciążenia pracami materiałowymi, dogmatyzmu metodologicznego, niedorozwoju systemu wymiany informacji i swego rodzaju feudalizacji stosunków sprawiło, że polska archeologia utraciła pozycję zdobytą w pierwszych latach powojennych. Dotyczyło to zresztą nie tylko prac teoretycznych, ale w równym stopniu metodyki badań techniki eksploracji stanowisk. Niestety wiele osób zdaje się nie dostrzegać tej sytuacji, w dalszym ciągu śniąc o potędze „polskiej szkoły archeologicznej”.

Sytuacja ta zmieniła się w połowie lat siedemdziesiątych, we wszystkich czterech omówionych sferach powodując wyraźny wzrost zainteresowania badaniami teoretycznych podstaw archeologii zarówno starszej, jak i najmłodszej generacji pracowników naukowych. I chociaż aktywiści tego kierunku wciąż spotykają się z drwiącym lekceważeniem, wzrastająca liczba publikacji optymistycznie rokuje przyszły rozwój sytuacji w interesującym nas tu zakresie. Wynika z tego również optymistyczne spojrzenie na perspektywy całej polskiej archeologii, która bez rozwoju „badań podstawowych” zamarłaby w samozadowoleniu ze swych dotychczasowych osiągnięć.

Ten przydługi wstęp miał uzasadnić radość, z jaką zagłębiłem się w przysłany mi przez Redakcję tekst krytyczny Stanisława Florcka, zawierający uwagi dotyczące

mego artykułu opublikowanego w 29 tomie „Przeglądu Archeologicznego”. Niestety, moja radość trwała krótko, z żalem bowiem stwierdziłem, iż ta obszerna recenzja poświęcona jest omówieniu jakiejś nie znanej mi pracy i zawiera krytykę poglądów, które są mi równie obce, jak dla autora tej wypowiedzi polemicznej (?) są nie do przyjęcia. Zostałem zatem postawiony w dziwnej i niezręcznej sytuacji, bo uszczypnięto właściwie nie mnie, a wypada mi się bronić. Chociaż bowiem nie przywiązuję się zbytnio do własnych prac — a ta będąca przedmiotem sporu po tylu latach od jej napisania (1979) zawiera sporo sformułowań, pod którymi już bym się dzisiaj nie podpisał — to jednak zmuszony jestem podjąć rękawicę choćby tylko po to, aby wykazać brak podstaw do wmańwania mi pewnych myśli. Nie mogę zatem, aczkolwiek z żalem, podjąć dyskusji o generaliach, skupiając się raczej na śledzeniu wywodu mego Szanownego Adwersarza i zbijaniu punkt po punkcie jego zarzutów. Nie będzie to więc polemika pasjonująca dla czytelnika.

Już w czwartym zdaniu swego tekstu S. Florek cytuje moje zastrzeżenie (umieszczone na wszelki wypadek już w abstrakcie) informujące czytelnika o tym, iż interesują mnie losy informacji o przeszłości społeczno-kulturowej „zanim dotrze do archeologa”. To samo powtarzam we „Wprowadzeniu” na stronie 8. Żeby nie było wątpliwości na stronie 7 stwierdziłem *expressis verbis*: „Pominięty więc będzie istotny problem wyjaśniania, czyli ten etap procesu badawczego, na którym informacja uzyskana przez archeologa zostaje przez niego wykorzystana...” Pomimo tylu wskazówek autor recenzji brnie w ślepią uliczkę rozważań, których odpowiednika w ogóle w moim artykule nie ma. Słusznie przypominając, iż teoria każdej dyscypliny powinna zawierać między innymi i postulaty pragmatyczne, uparcie poszukuje ich w moim dziele, chcąc je zderzyć ze swoją koncepcją. A przecież na stronie 6 zastrzegłem nawet, że używanie terminu „teoria” do omawianych problemów jest jedynie umowne. Archeologia nie dojrzała bowiem jeszcze do sformułowania własnych koncepcji, które można by przedstawić w postaci „zwartych systemów twierdzeń wyjaśniających”.

Na tym właściwie mógłbym skończyć pisanie tej odpowiedzi, ale kontynuuję w nadziei, że moje dalsze uwagi wyjaśnią niektóre nieostre miejsca tekstu, który popełniłem. Oświadczam zatem, iż celem moich rozważań nie było podanie recepty (można mi więc zarzucić tylko zrobienie uniku), lecz pogłębienie diagnozy, która w większości prac pretendujących do sformułowania „teorii archeologii” jest powierzchowna. Tematem moich przemyśleń była natomiast „teoria” powstawania źródeł archeologicznych, która poza nielicznymi wyjątkami (np. M. B. Schiffer) traktowana jest bardzo pobieżnie zarówno przez optymistów, jak i sceptyków, co sprawia, że ich deklaracje dotyczące możliwości poznawczych

archeologii (w sensie pragmatycznym) są trudne do zweryfikowania. Próbowałem zatem (o czym piszę w ostatnich zdaniach mego artykułu) poszerzyć płaszczyznę, na której można by oprzeć tę dyskusję.

Z drugiego akapitu recenzji dowiaduję się, że „trzonem merytorycznym” mej publikacji jest próba zastosowania teorii informacji. Tymczasem, jak zaznaczyłem na s. 33, użyłem podstawowych elementów tej teorii jako narzędzia analitycznego. Użyłem jej jako jednego z wielu potencjalnie użytecznych „języków” opisu rozważanych problemów, korzystając z „konkretnych osiągnięć teoretycznych dotyczących procesów informacyjnych”. Możliwość użycia tego jednego z uniwersalnych, interdyscyplinarnych języków nie tylko powinna ułatwić porozumiewanie się z przedstawicielami innych nauk (co osobiście sprawdziłem), ale zmusza równocześnie do pogłębienia analizy problemu, narzucając konieczność trzymania się wyznaczonych ram i odpowiedzenia na konkretne pytania. A utrzymanie jasnego toku rozumowania chroni przed zaplątaniem się w pseudoteoretyczne dywagacje będące odzwierciedleniem nieuporządkowanego „strumienia świadomości” autora.

Co ważniejsze jednak S. Florek podejmuje dyskusję z moją niewątpliwie niedoskonałą (co sygnalizowałem już w inkryminowanym artykule na s. 39 i o czym dzisiaj jestem jeszcze bardziej przekonany) próbą uściślenia wywodu z pomocą zapożyczeń z teorii informacji, nie znając podstawowych założeń tej teorii. A można je znaleźć nawet w encyklopedii, nie mówiąc o fachowej literaturze. Nie tylko więc moje procesy depozycyjne i podepozycyjne, ale i wszelkie inne procesy rzeczywiste mają charakter informacyjny. Przekazywanie wiadomości zachodzi zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. I chociaż dla S. Florka (s. 210 jego tekstu) absurdalne byłoby uznanie, że wiatr przekazuje wiadomości geologowi, teoria informacji może się równie dobrze zająć przekazywaniem przez wiatr informacji roślinie czy małpie. I to jest właśnie największą zaletą tego rodzaju schematów opisowych, które podobnie jak cybernetyka i ogólna teoria systemów pozwalają uogólnić wiele zjawisk pozornie nieporównywalnych, a jednak z pewnego punktu widzenia identycznych. Zaskakuje więc zdziwienie mego adwersarza (s. 210 recenzji), że nie zdołałem się wyzwolić od ogólności narzuconej przez podejście teorioinformacyjne. Przecież o to właśnie chodziło! I bardzo mnie cieszy, iż dostrzegł możliwość zastąpienia w moim schemacie archeologa geologiem czy paleontologiem. Celem ujęć modelowych, bez których nie można sformułować teorii żadnej dyscypliny (w tym również teorii archeologii, o którą tak dopomina się S. Florek), jest właśnie uzyskanie uniwersalnego stopnia ogólności. Empiryczno-opisowe ujęcie specyficznych zjawisk depozycyjnych i podepozycyjnych, związanych ściśle z problematyką archeologii znajdzie natomiast w moim 6-arku-

szowym bogato ilustrowanym maszynopisie (który może znajdzie drogę do drukarni w 1984 r.), przechowywanym w Archiwum IHKM PAN w Warszawie.

Zarzut, że zaproponowane przeze mnie ujęcie teorioinformacyjne powoduje „zredukowanie relatywizmu w pojmowaniu procesu poznawczego” (s. 209 recenzji), czy też nie opisuje „metod z uwypukleniem specyfiki naszej dyscypliny” (s. 210 tekstu krytycznego) dowodzi tylko, iż wspomniane na początku ramy rozważań, jakie sobie nakreśliłem w artykule, nie zostały przekroczone. Ta konsekwencja nie pasuje jednak do linii, którą przyjął S. Florek w swojej polemice. Kolejny więc raz wyraża swoje rozczarowanie, że „istota teoretycznego statusu archeologii widziana przez pryzmat możliwości poznawczych nie została [...] w sposób zadowalający i konsekwentny przedstawiona” (s. 210 recenzji). Powiedziałbym osobiście więcej: owa „istota” wcale nie gości w moim tekście!

Nieporadnie też wywiązałem się podobno ze zobowiązania dokonania krytycznego przeglądu literatury, ograniczając się do serii uwag nie wiążących się z zasadniczym tematem, zamiast przedstawić naturalne, historyczne tło zarysowanej teorii (s. 210 krytyki). Jak autor recenzji doszukał się w moim tekście jakiejś teorii, pozostaje dla mnie zagadką, aczkolwiek muszę przyznać, że owo podejrzenie mile polectało moją ambicję. Całe szczęście też, że omówione przeze mnie pozycje nie pasują mu do sugerowanego przez niego „zasadniczego tematu pracy”, gdyż ten temat (epistemologia czy też metodologia pragmatyczna archeologii) niemal zupełnie nie jest w mojej pracy poruszany. Wydaje się natomiast, iż zaprezentowałem wszystkie najważniejsze prace wiążące się z rzeczywistym tematem, któremu poświęciłem swoje rozważania, tj. powstawaniem źródła archeologicznego. A że przeglądu tego dokonałem zgodnie z zapowiedzią „na marginesie zasadniczego wywodu” (s. 8), jest to skutkiem mej głębokiej niechęci do tradycyjnej formuły prezentowania tzw. stanu badań.

Za komplement uznałem również, pejoratywnie chyba w ujęciu S. Florka (s. 210 n.), stwierdzenia banalności niektórych z moich sformułowań. Moim marzeniem bowiem jest napisanie pracy, którą wszyscy archeolodzy uznaliby za ciąg uniwersalnych banałów. Byłby to bowiem sukces nie tylko mój, ale i całej archeologii, która jak dotąd nie może się doczekać sformułowań jednoznacznie przez wszystkich rozumianych. Nie ma przecież zdania bardziej banalnego niż stwierdzenie, że „liczba atomowa wodoru jest równa 1”. Mimo to nauki, które operują takimi zdaniami już od XIX w. uznawane są za najwyżej rozwinięte. Niestety archeologii jeszcze długo nie „grozi” osiągnięcie takiego poziomu precyzji sformułowań, chociaż w ciągu ostatniego dwudziestolecia wyraźnie zaczyna tracić swój klasyczny, idiograficzny charakter. Tendencje nomotetyzujące, wystę-

pujące z przesadną może ostrością w literaturze anglo-saskiej (a w Polsce formułowane przez pojedynczych autorów już w latach pięćdziesiątych), niewątpliwie otworzyły przed naszą dyscypliną nowe, nieoczekiwane perspektywy badawcze.

Kolejnemu nieporozumieniu, wynikającemu znowu z nieuważnego czytania bądź może z mej nieporadności w formułowaniu myśli, poświęca S. Florek następne 3 strony maszynopisu (s. 210). Chce mnie zatem przekonać (choć zapewniamsię, iż jestem o tym zupełnie przekonany), że kultury nie ulegają zapomnieniu. Uwagi te nie odnoszą się jednak ani do mojego wywodu, ani do przemyśleń L. S. Klejna, które rozwijam. Klejn (1978, 60) wyraźnie przecież pisze o „zapominaniu rzeczy” (a nie kultur), co ja uściśliłem uwagą, że ta przerwa w tradycji „dotyczy przede wszystkim kontekstu społeczno-kulturowego, w którym dany przedmiot funkcjonował jako jeden z elementów składowych” (s. 13). Jest to jednak coś zupełnie innego i S. Florek chyba nie zaprzeczy, że z takim „zapominaniem” funkcjonalnej roli (nie mówiąc już o znaczeniu semiotycznym) rozmaitych elementów materialnego wyposażenia społeczności ludzkiej mamy przecież do czynienia i obecnie.

Przejdźmy teraz do będącego podobno moim marzeniem osiągnięcia relacji izomorfizmu między przeszłą rzeczywistością społeczno-kulturową a jej rekonstrukcją dokonaną przez archeologa. Wyjaśnijmy więc krótko, o co właściwie chodzi. Otóż o izomorfizmie, tj. relacji jedno-jednoznaczności można mówić jedynie w matematyce czy logice, a więc w naukach formalnych, które wszak operują teorematami wywiedzionymi dedukcyjnie z przyjętych założeń pierwotnych. Natomiast w świecie realnym ścisły izomorfizm zachodzi tylko pomiędzy jakąś rzeczą a nią samą. W naukach przyrodniczych zatem, a tym bardziej w naukach antropologicznych, można mówić jedynie o izorfizmie ze względu na pewien ściśle określony zespół cech jakichś przedmiotów, kompleksów przedmiotów, czy też zjawisk o charakterze społeczno-kulturowym. Jednak co do tych ostatnich, „izomorfizm” ów musiałby się ograniczyć do wyabstrahowanych z systemu wzajemnych powiązań, najprostszych cech, których ogólność czyni operowanie nimi mało przydatnym w praktyce badawczej. Podobnie więc jak S. Piekarczyk (1972) rozumiem to dążenie do osiągnięcia izomorficznego odzwierciedlenia badanej rzeczywistości jako abstrakcyjny ideał badawczy (s. 7). A swoją drogą — czy S. Florek nie chciałby móc poznać badanego przez siebie fragmentu przeszłości społeczno-kulturowej w całym bogactwie jego dynamicznej kompleksowości? Pewnie tak. Ja też! I o to właśnie chodzi. Zaś odpowiedź na zadane mi pytanie, czy imitacje wytopu żelaza albo produkcji narzędzi kamiennych można nazwać izomorficznymi względem badanych zjawisk przeszłości, mógł znaleźć w moim artykule z 1981 r.

Strony 209 i 210 omawianej tu recenzji dowodnie wykazują, że moja próba zwrócenia uwagi badaczy zainteresowanych metodologią archeologii na obiektywne ograniczenia ich zdolności poznawczych okazała się w wypadku Recenzenta bezużyteczna. Stwierdza bowiem on, że wszystkie rzeczywiste problemy związane z zakresem możliwości poznawczych archeologii ogniskują się w samym procesie badawczym, a więc pomiędzy obserwacją faktów a konstruowaniem modeli interpretacyjnych” (s. 211 polemiki). Mógłbym się z tym zgodzić, gdyby chodziło jedynie o badanie fizycznej struktury stanowiska archeologicznego. Niestety, mowa jest o badaniu przeszłości społeczno-kulturowej, a w takim razie deklarowanie braku zainteresowania procesem powstawania faktów, które archeolog obserwuje w terenie, brzmi niepoważnie.

Jedną z części podstawy wnioskowania archeologa jest przecież znajomość procesów materializowania się informacji o aktywności przeszłych społeczeństw w postaci faktów geomorfologicznych. To, że jest to proces pierwotny, na który archeolog nie ma żadnego wpływu (co jest jasne i dla mnie — por. s. 46), nie pomniejsza bynajmniej jego znaczenia. Znajomość tych zagadnień wchodzi bowiem w zakres rozważań ontologicznych, bez których żadna nauka empiryczna nie może się rozwijać. Nie zmienia tego również fakt, iż twórcą informacji używanych ostatecznie do konstruowania modeli jest archeolog przekształcający odkrywane fakty stratyfikacyjne w fakty stratygraficzne (czy też fakty empiryczne w informacje, albo język rzeczy w język znaków itd.). Nie istnieje przecież informacja „w ogóle”, lecz informacja dla konkretnego odbiorcy, który niezależnie od tego, czy jest rośliną, maszyną czy archeologiem, nadaje jej swoiste „subiektywne” piętno, wykorzystując posiadany zasób wiedzy „pozaźródłowej”. Dlatego też „silnik analityczny” D. L. Clarke’a (1968) — rygorystycznie użyty pozwoliłby różnym badaczom uzyskać takie same wyniki z analizy tych samych materiałów — musi jeszcze pozostać w sferze marzeń.

Dobrego pretekstu do egzemplifikacji mojej koncepcji dostarcza stwierdzenie S. Florcka, że zakres naszych możliwości poznawczych determinuje przede wszystkim „rodzaj organizacji i kultura oraz chronologiczna odległość badanego społeczeństwa” (s. 212 recenzji). Pytam zatem, w jakim stopniu świadomość, że dane stanowisko należy przypisać klasowym czy bezklasowym społeczeństwom, ludom rolniczym czy zbieracko-łowickim, mieszkańcom stref tropikalnych czy umiarkowanych itd. (s. 212 recenzji), pomoże memu Szanownemu Oponentowi zinterpretować konstrukcję, po której pozostały tylko 4 doły posłupowe? A przecież moje rozważania odnoszą się głównie do takiego właśnie podstawowego, idiograficznego poziomu badań. Na ile zaś wiek Pompejów stawia ich badacza w gorszej sytuacji od archeologa

odsłaniającego resztki spalonego i zniwelowanego miasta średniowiecznego? I dalej — czyż nie ma różnic w wartości poznawczej danych uzyskanych ze starannie przebadanej i udokumentowanej osady neolitycznej a z rozkopanej przez ignoranta wczesnośredniowiecznego grodziska? Dla mnie odpowiedzi na te i podobne im pytania są oczywistym potwierdzeniem wpływu zjawisk, które zaliczam do ontologicznej charakterystyki źródeł archeologicznych. Natomiast kwestie związane z metodologicznym „wyposażeniem” badacza, jego zdolnością do analizowania i syntezy, poziomem wiedzy pozaźródłowej itd. stanowią oddzielny, aczkolwiek równie istotny problem.

Dalsza lektura krytycznego omówienia moich przemyśleń pozwala ustalić przyczynę ostrego protestu S. Florka przeciw mojemu „modelowi redukcyjnemu”. Wydało mu się mianowicie, że z analizy procesu przemian, jakim podlega zmaterializowany w dostępnym archeologowi świadectwie stratyfikacyjnym obraz przeszłości społeczno-kulturowej, wyciągam wniosek o jakichś totalnych ograniczeniach naszych możliwości poznawczych (s. 212 recenzji). A przecież napisałem wyraźnie, podpierając się przy okazji autorytetami D. L. Clarke’a i L. S. Klejna, że nie istnieje granica zawartości poznawczej źródła archeologicznego (s. 19), co wynika z ich materialnego charakteru, a więc z niemożności ich totalnego zbadania, opisanego czy zinterpretowanego (por. też s. 7). Ale równocześnie nie sposób zaprzeczyć, iż specyficzny charakter tych źródeł zmusza do uznania, że istnieje granica poznawalności przeszłej rzeczywistości społeczno-kulturowej za ich pośrednictwem. Nie można bowiem założyć, iż jakiś system (w tym również społeczno-kulturowy) może być w pełni odzwierciedlony w którymś z jego podsystemów (w naszym wypadku podsystemie „kultury materialnej”). Równocześnie jednak ontologicznie nie uzasadniony jest sceptycyzm nasuwający wniosek, iż dany podsystem nie zawiera żadnych informacji o pozostałych częściach całości, której jest składnikiem i z którą jest ex definitione powiązany kompleksową siecią sprzężeń informacyjnych determinujących tożsamość całego układu i jego trwanie (por. s. 16–17). Ta pozorna sprzecz-

ność „nieograniczonej ograniczoności” naszych możliwości poznawczych jest kluczowym problemem archeologii.

Na zakończenie tej polemiki z krytykiem mego artykułu chciałbym przywołać dwa celne zdania z zakończenia jego recenzji. Ich treść bowiem jest mi równie bliska jak ich autorowi, któremu jednak wydaje się, że podsumowują mądrość moich przemyśleń. Jasne jest bowiem dla każdego, iż: „Proces poznawczy prowadzi do wzbogacenia informacyjnego, nie do redukcji informacji”, jako że w procesie badawczym archeologii (i nie tylko) niezbędne jest korzystanie z wiedzy pozaźródłowej, jak też ekstrapolacji posiadanych już informacji na obszary słabo lub w ogóle nie oświetlone źródłami. Bez wahania składam też swój podpis pod zdaniem kończącym krytyczne (?) rozważania S. Florka. Niewątpliwie zatem: „Droga, jaką obrał P. Urbańczyk, nie jest tym wyjściem, które prowadzi do [...] owocnego sformalizowania procesu badawczego naszej nauki”. Moja droga prowadzi bowiem w innym, nie dostrzeżonym przez autora tej metafory, kierunku.

Mimo tej zgodności co do końcowego wniosku odczuwam jednak wyraźny niedosyt po powyższej wymianie zdań. Krytycyzm S. Florka okazał się bowiem pozorny, co jest skutkiem przyjęcia niezgodnej ze stanem faktycznym interpretacji mojego artykułu. Nie wiem, czy było to wynikiem nieuważnej lektury, jednostronnego rozumienia tytułu, czy też zagmatwania przeze mnie prostych spraw. Co prawda przyjęcie tej interpretacji znacznie ułatwiło mu napisanie „miażdżącej” recenzji, ale spowodowało równocześnie prześlizgnięcie się bezwzględnej krytyki po rzeczywistych słabych punktach mego tekstu. Są one wcale liczne i ich obnażenie mogłoby dostarczyć bodźca do przeprowadzenia o wiele ciekawszej wymiany myśli niż ta, którą w tej chwili kończę. Kończę wyrażając ponownie (tym razem publicznie) wdzięczność S. Florcowi za trud przeczytania i skomentowania jednej z moich prac. Mam też nadzieję, że ostrość niektórych z powyższych sformułowań (częściowo narzucona tonem wypowiedzi recenzenta) nie przeszkodzi nam w dalszej, bardziej owocnej wymianie myśli i doświadczeń.

BIBLIOGRAFIA

CLARKE D. L.
1968 *Analytical Archaeology*, London.

KLEJN L. S.
1978 *Archeologičeskie istočniki*, Leningrad.

PIEKARCZYK S.
1972 *Historia. Kultura. Poznanie*, Warszawa.

URBAŃCZYK P.
1981 *Archeologia współczesności*, „Archeologia Polski”, t. 26, z. 1, s. 49–63.

Adres autora:

Dr Przemysław Urbańczyk
Zakład Metodologii Badań Archeologicznych IHKM PAN
00-140 Warszawa, al. Świerczewskiego 105

